

DIFFÉRANCE DERRIDY. CZY BŁĄD DAJE SIĘ (WY)TŁUMACZYĆ?

Wydaje się, że dyskusja dotycząca polskiego przekładu Derridiańskiej *différance*, tocząca się burzliwie w latach dziewięćdziesiątych XX wieku przy okazji sukcesywnego pojawiania się w Polsce tłumaczeń dzieł Derridy, straciła już właściwy sobie impet oraz zdążyła ostygnąć. Jednak prawdopodobnie dopiero teraz, gdy już nie trzeba się obawiać odrzucenia i zmarginalizowania samego zjawiska dekonstrukcji, można zastanowić się nad tym, czy poszczególne tłumaczenia, próbując odsłonić, przybliżyć francuskie pojęcie, nie zasłoniły jego właściwego znaczenia, a co najważniejsze, subwersywnego i dynamicznego potencjału. Rozpoczynając od analizy powstałych dotychczas propozycji translatorskich (Bogdana Banaśki, Tadeusza Sławka, Stanisława Cichowicza oraz Joanny Skoczylas), staram się podjąć namysł nad próbą oddania *différance* w języku polskim z właściwym jej błędem ortograficznym: „róznica/ruźnica”. W tym celu spoglądam na Derridiańską *différance/différence* przez pryzmat iterowości, czyli podobieństwa z wkradającym się w nie przemieszczeniem – Innością. Pragnę ukazać, jakie konsekwencje oraz perspektywy interpretacyjne mogłoby nieść ze sobą tłumaczenie wysuwające na pierwszy plan iterację. Następnie zastanawiam się, czy należy na gruncie rodzimej myśli poprawiać błąd celowo popełniony przez filozofa, a także czy jego korekta w tym przypadku jest w ogóle uzasadniona. Jednocześnie dociekam, czy ten nietypowy, inny przekład współgra z takimi pojęciami Derridy jak „suplement”, „farmakon”, „odwleczenie”, „rozsunięcie”, „ślad”, „rozplenianie”. Jestem przekonany, że na przykładzie błędnego zapisu *différance* można doskonale ukazać sposób, w jaki gramatyczna Inność ma szansę wkroczyć w porządek językowy.

Pierwotna wielość i płodna pomysłowość propozycji translatorskich, eksponujących zazwyczaj jedną lub kilka charakterystycznych cech tego kontrowersyjnego pojęcia, została współcześnie wydatnie ograniczona i ujednoczona. Wybór dokonał się poprzez filozoficzny *usus*, obecnie faworyzujący propozycję Joanny Skoczylas („różnia”) bądź przychyłający się do pozornie neutralnej, a przez to dość atrakcyjnej, oryginalnej pisowni francuskiej. Jest bardzo prawdopodobne, że ten kluczowy dla dekonstrukcji termin podzieli losy Heideggerowskiego *Dasein*, które po wielu próbach wpisania go w język polski zostało przyjęte w praktyce naukowej jako nieprzetłumaczalne, lecz podlegające wyjaśnieniu i omawianiu¹.

Bogdan Banasiak, dokonując przekładu *O gramatologii*, proponował w napisanym przez siebie wstępie, by *différance* tłumaczyć jako „różnicność”, która funkcjonując w dwojakim zapisie „róż(nic)ość” bądź „różni(coś)ć”, zawierałaby w sobie zarówno „nic” jak i „coś”. Propozycja ta zdaje się bardzo dobrze oddawać nierozstrzygalny ruch nicościowania, a jednocześnie stawania się czymś, przy czym współistniejąc ze sobą, żadna z tych antagonistycznych tendencji nie byłaby w stanie przejąć kontroli nad drugą.

Ten dwoisty termin za każdym odczytaniem jawi się jako odnoszący się do zupełnie innego zakresu znaczeniowego (nic/coś), przez co pozwala wejść w przestrzeń ambiwalencji, migotliwej ruchliwości. Skomplikowana „róż(ni(c)oś)ć”, będąc i nie będąc zarazem, jest więc niewątpliwie ciekawym oraz oddającym derridiańskiego ducha projektem translatorskim, próbującym uniknąć sprowadzenia go jedynie do obecności lub nieobecności. Niestety nie wydaje się jednak konstrukcją na tyle otwartą i (przede wszystkim) nośną, aby bez trudu wyeksponować wszystkie charakterystyczne dla dekonstrukcji wątki filozoficzne, jakie według Derridy powinny zostać niejako wywołane przez samo to pojęcie.

Innym, dość intrygującym pomysłem, stała się „różNICa”² Tadeusza Sławka, który jako pierwszy z tłumaczy zwrócił uwagę na zupełnie inne cechy tego pojęcia. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że *différance* nie jest zupełnie nowym słowem o nieznanym do tej pory znaczeniu, lecz rodzajem neografizmu. Różnica tkwi w samej graficznej tkance słowa,

¹ Warto wymienić w tym kontekście chociażby „jestestwo” – propozycję Bogdana Barana oraz „byt przytomny”, jakim posługiwał się Krzysztof Michalski.

² Koncepcja Sławka została między innymi zinteroryzowana przez Jacka Kochanowskiego w jego książce *Fantazmat różNICowany. Socjologiczne studium przemian tożsamości gejów*.

związanej bezpośrednio z drukiem, a nie z nowym, uobecnionym logosem, który niósłby ze sobą powołany do intelektualnego życia neologizm. Sławkę właściwie jako jedyną zauważa i wykorzystuje w praktyce fakt, że „różNICA” jest niesłyszalna dla ludzkiego ucha, kpiąc sobie w ten sposób z metafizyki obecności. Jednak mimo niekwestionowanych zalet również temu konceptowi translatorskiemu nie udało się uniknąć niedoskonałości. Po pierwsze, już samo użycie dużych liter, służących tutaj do wyeksponowania różnicy, zdaje się rozmijać z zamiarem Derridy, który twierdzi, że *différance* „niczym nie rządzi, nad niczym nie panuje i nigdzie nie sprawuje żadnej władzy. Nie objawia się w piśmie wielką literą” (Derrida 2002: 49). Inną wadą wspomnianej propozycji jest ogromny nacisk położony przez jej autora na przybierające monstrualne rozmiary, monumentalne NIC. Ten swoisty zabieg graficzny z jednej strony doskonale wskazuje, że „różNICA” nie jest niczym obecnym, a jako milcząca, tym bardziej nie może zostać w pełni uobecniona. Z drugiej strony taki właśnie zapis mimowolnie strąca całe przedsięwzięcie dekonstrukcji w otchłań nieobecności. Przywołując nicłość, jednocześnie przytłacza swoimi jawnie nihilistycznymi inklinacjami i negatywnym zabarwieniem.

Zupełnie odmienne podejście prezentuje w tej kwestii Stanisław Cichowicz, któremu nie zależało na tym, by stać się autorem neologizmu czy też neografizmu, lecz raczej by dać wyobrażenie, czym jest *différance*. Badacz połączył ze sobą kilka charakterystycznych dla niej cech, ukazując sieć zachodzących pomiędzy nimi relacji. Dlatego też sugerowana przez niego „gra-na-zwłokę-o-różnicę” dosyć dobrze ujawnia niewidoczne dotychczas w innych propozycjach walory Derridiańskiego pojęcia. Powstała w ten sposób konstrukcja uwypukla przede wszystkim grę powtórzenia, niosącą w sobie niezaprzeczalny element przyjemności oraz uzależniające napięcie typowe dla hazardu, w którym najwyższą stawką jest różnica. Ponadto znakomicie wykorzystany związek frazeologiczny „gra na zwłokę” obrazuje specyficznie pojęty ruch, który żadną miarą nie chce nabrać stosownej prędkości, by dotrzeć do celu. Wręcz przeciwnie, chodzi tutaj o taki rodzaj działalności, który za wszelką cenę stara się nie dopuścić do wydarzenia się czegoś; jest to nietypowe połączenie aktywności z pasywnością.

Tylko w skonstruowanym przez Cichowicza terminie jesteśmy w stanie odnaleźć typowe dla gry doświadczenie odwlekania i opóźniania, tak zwane „jeszcze nie teraz”. Jednak również ta propozycja, podobnie jak jej poprzedniczki, nie jest wolna od mankamentów. „Gra-na-zwłokę-o-różnicę” ze względu na przyjętą formę (zastosowanie dywizów) przypomina

do złudzenia takie Heideggerowskie konstrukcje jak „bycie-w-świecie”, „wola-posiadania-sumienia” czy też „bycie-nie-w-swoim-domu”. Derrida natomiast, mimo uznania, jakim darzył filozoficzne osiągnięcia Heideggera, zdecydowanie rzadziej tworzył w ten sposób pojęcia, a jego nowotwory myślowe opierały się przeważnie na homofonii, grze słów oraz niejednoznaczności.

Inną, choć nie mniej ważną, kwestią jest niewystarczalność zaproponowanego terminu, powstałego poprzez wybór ciągu wyrazów, który jeśli ma pełnić funkcję otwierającą, w zasadzie nigdy nie może być skończony. Toteż „gra-na-zwłokę-o-różnicę” wydaje się projektem niezakończonym, *in statu nascendi*, dosłownie ciągiem wywołującym ciagoty, by samemu dodać do niego kolejną charakterystyczną dla *différance* cechę. Z drugiej strony możliwe, że tłumaczenie Cichowicza należy potraktować jako próbę oddania Derridiańskiego suplementu; jego pojęcie to zbyt dużo słów, które zawsze będzie niewystarczające.

Wreszcie tłumaczenie Joanny Skoczylas, „różnia”, w dość krótkim czasie stało się najczęściej używaną, szeroko rozpowszechnioną i przede wszystkim bezbłędnie rozpoznawaną wersją Derridiańskiego pojęcia (Derrida 1978: 374). Wydaje się, że „różnia” jest rzeczownikiem odczasownikowym („różnić”), a to wskazywałoby na celowy zabieg słowotwórczy umożliwiający osiągnięcie ambiwalentnego, pasywno-aktywnego charakteru tego neologizmu. Poza tym termin zaproponowany przez Skoczylas odgrywa rolę matrycy, takiej jak „wylęgarnia”, w której wyodrębnianie się poszczególnych bytów następuje niejako samo z siebie. Nie jesteśmy w stanie zlokalizować sprawcy działania (agensa, aktora), gdy jednocześnie zostajemy skonfrontowani z pewną wykonaną czynnością i jej produktami czy też konsekwencjami. Jednak na tym chyba kończą się możliwości interpretacyjne związane z powyższym tłumaczeniem, które w zasadzie nie spełnia większości warunków dotyczących *différance* podyktowanych przez samego Derridę. Co więcej, „różnia” budzi skojarzenia z takimi filozoficznymi kategoriami jak „jednia” czy też „pełnia”, odnoszące się bezpośrednio do absolutu, niczym niezmaconej obecności i doskonałości. Dlaczego to właśnie sugestia Skoczylas została zaakceptowana i tak dobrze przyjęta w obszarze nauk humanistycznych?

Odpowiedź nasuwa się sama i nie jest szczególnie wyrafinowana ani niekonwencjonalna. Otóż większość wymienionych propozycji translatorskich jest najzwyczajniej zbyt długa („różnicność”, „gra-na-zwłokę-o-różnicę”), abyśmy mogli bez większych problemów się nimi posługiwać.

W dodatku poziom ich skomplikowania („różNICa”), by nie powiedzieć: uduziwnienia, powoduje, że ich nieporęczność i nieużyteczność jeszcze wzrasta. Wydaje się, że „różnia” nie rości sobie pretensji do bycia doskonałym popisem translatorskim, ukazującym wielość rozmaitych filozoficznych wątków, a zwycięża ze względu na swą bezsprzeczną prostotę, zgrabną budowę formalną i zdecydowaną łatwość w użyciu. Jako cywilizowana, pełna ogłady wersja skandalicznej *différance* nie niesie z sobą również trudności, nieprzyjemnych komplikacji, a tym bardziej nie wprawia nikogo w konsternację, nie budzi sprzeciwu. Jeśli akurat to tłumaczenie zdążyło już się zadomowić w polskiej myśli filozoficznej, tym gorzej dla zaprzepaszczonego dekonstrukcyjnego potencjału, wywołującego raczej poczucie nieswojości niż bezpieczeństwa i stabilizacji.

Błąd Derridy czy tłumaczy?

Niestety, ani jedna z przedstawionych propozycji nie jest tak uderzająca i jednocześnie wyjątkowo prosta jak niezwykley zabieg Derridy, który dzięki zmianie jednej litery zdołał rozchwiać twarde fundamenty myśli europejskiej, wstrząsając nią w posadach, a filozofów wprawić w niemałe zakłopotanie. Ponadto nietrudno zauważyć, że żaden z polskich przekładów nie spełnia bardzo ważnego warunku: nie jest w najmniejszym chociażby stopniu błędem ortograficznym. Ten niczym nieuzasadniony, paraliżujący wręcz lęk tłumaczy, którzy nie dopuszczają nawet możliwości popełnienia błędu językowego, sprawił, że niesłyszalne dotąd przez nikogo Derridiańskie pojęcie wybrzmiało nagle całą gamą różnorodnych dźwięków. *Différance* nie tylko okazuje się groźna, ale równocześnie sama staje się zagrożona przez tych, którzy pragną królestwa przeszłej lub przyszłej obecności (por. Derrida 1999: 49). Strach przed tą niemą, niewymowną siłą pozwolił nam usłyszeć i wymówić różnię, ta natomiast dzięki swemu dźwiękowemu wyróżnieniu zamiast rozpraszać metafizykę obecności, doskonale jej służy.

Skoro „różnia” już się uobecniła, jedyne, co nam pozostaje, to zapytać o jej sens: czym ona właściwie jest? Jednak, jak wiadomo, jest to przedsięwzięcie z góry skazane na niepowodzenie, gdyż pojęcie Derridy nie zamieszkuje logosu. Dlatego należy zwrócić się ponownie do pisma i prześledzić niemalże kryminalną historię pewnego błędu, do którego nie tylko nikt nie chce się przyznać, ale – co bardziej intrygujące – nikt nie chce go popełnić.

Szczególnie interesujący okazuje się dość dziwny przypadek Bogdana Banasiaka, który wydaje się bezwzględnie i z całym przekonaniem odrzucać jakąkolwiek możliwość tłumaczenia francuskiego *différance* z błędem:

Bez wahania można założyć, że oparte na błędzie ortograficznym ewentualne propozycje translatorskie typu ruźnica lub różnica byłyby nazbyt ryzykowne, zważywszy na szczególnie **rażący** charakter tego rodzaju błędów w języku polskim (Banasiak 1999: 11; wyróżnienie A.M.).

Należałoby się zastanowić, czy każdy błąd nie jest rażący już sam w sobie, z racji swej istotowej nieprawidłowości, zwłaszcza jeśli zapytalibyśmy o zdanie na ten temat francuskich purystów językowych, znanych w świecie ze swej bezwzględnej surowości. Można zaryzykować stwierdzenie, że nie trzeba stać się kardynalnym błędem, by móc bez przeszkód reprezentować sobą wyłącznie niezbywalny brak poprawności. Warto dodać, że Banasiak nie wskazuje na krzykliwość czy też wrzaskliwość niewłaściwych form językowych, odnosząc się raczej do zmysłu słuchu, lecz kładzie nacisk na ich oślepiającą naturę, percypowaną jedynie za pomocą wzroku. Jeżeli zdecydujemy się odnieść do francuskiego oryginału i prześledzić pierwsze zdania *la différence*, Derrida sam upewnia nas co do swego błędnego zamiaru, ponieważ zdecydował się posłużyć sformułowaniem *grosse faute* (zob. Derrida 1972: 3), co daje się przełożyć jako „wielki, poważny błąd” lub też – jak proponuje Janusz Margański – „błąd pospolity” (szeroko występujący).

Banasiak natomiast w swoim niepublikowanym dotychczas przekładzie tłumaczy *grosse faute* właśnie jako „rażący błąd”. Ten zabieg translatorski, oparty na swoistym powtórzeniu wcześniejszej stanowczej deklaracji, może wprawić w niemałe zdumienie, które po chwili ustępuje pod natłokiem palących pytań. Jeżeli – jak zgodnie twierdzą filozof i jego tłumacz – *différance* jest przede wszystkim rażącym błędem ortograficznym, to dłaczegóż nie można oddać tego pojęcia w języku polskim niemniej rażącym bykiem?

Banasiak używa tego samego epitetu zarówno do wyeksponowania zasadniczej cechy Derridiańskiego terminu, jak i do odrzucenia i zdyskredytowania polskiego przekładu, który ewidentnie go razi. Skoro powyższa aporia została już wydobyta na światło dzienne, trzeba poszukać możliwych rozwiązań takiego stanu rzeczy. Skoczyłaś, tłumacząc esej Derridy w 1978 roku, jako pierwsza użyła sformułowania „rażący błąd”³. Jedna

³ Por. http://bb.ph-f.org/przeklady/derrida_roznosc.pdf (26.08.2010) oraz Derrida 1978: 374.

z najprostszych i całkiem prawdopodobnych odpowiedzi, jakie przychodzą tu na myśl, jest taka, że Banasiak uznał rozwiązanie swej poprzedniczki za zgodne z jego własnymi intencjami i zdecydował się po prostu włączyć je do przekładu.

Jeśli jednak spojrzymy na tę kwestię bardziej podejrzliwie, nie posadzając tłumacza, badacza i filozofa o chęć popadania w sprzeczność, sytuacja się komplikuje. Jego twierdzenie, że takie propozycje translatorskie jak „różnica” i „róznica” są rażącymi błędami ortograficznymi, przy wcześniejszym założeniu, jakoby *différance* była rażącym wykroczeniem przeciwko ortografii, sprawia wrażenie ukrytego dowodu, swoistej instrukcji postępowania, z której jednak Banasiak nie chce (z wiadomego tylko sobie powodu) skorzystać. Banasiak zdaje się sygnalizować tym tajemniczym postępowaniem, że doskonale zna rozwiązanie zagadki przekładu Derridy, lecz proponuje bezpieczniejszy wariant. Wybiera „róźnicosc”, wyraźnie stroniącą od niepoprawności, a zakorzenioną i wyczytaną z poezji Leśmiana. Jak na ironię, Banasiak postępuje dokładnie tak, jak to przedstawia Derrida w jego przekładzie:

To uchybienie wobec ortografii zawsze *de facto* lub *de iure* będzie można zatrzeć lub pomniejszyć jego znaczenie i uznać je (...) za poważne, niestosowne lub w przypadku największej prostoduszności za zabawne. Gdyby nawet takie wykroczenie usiłowano pominąć milczeniem, samo zainteresowanie nim daje się od razu spostrzec, wskazać, jak gdyby zostało narzucone przez niemą ironię, nieuchwytnie słuchem uchybienie, zawarte w przedstawieniu liter. Zawsze będzie można zachować się tak, jakby nie robiło to różnicy⁴.

Abstrahując już od zamierzeń poszczególnych tłumaczy i ich intencji, sprawiających chwilami wrażenie zdecydowanie bardziej nieprzejrzystych niż same teksty filozofa, zwróćmy przede wszystkim nasz wzrok w kierunku językowych przesunięć i odchyłeń (*clinamen*). Nie potrzeba wielkiej przenikliwości, by zdać sobie sprawę z tego, że Derrida chciał popełnić rażący błąd ortograficzny i dokonał tego z pełną świadomością, by nie powiedzieć: z premedytacją. Jednak, jak sam zapewnia, nie zrobił tego wyłącznie w celu zgorzenia czytelników bądź gramatyków (por. Derrida 2002: 30). Nie mamy tutaj do czynienia z pomyłką drukarską, lecz z jak najbardziej celowym zabiegiem, którego nie można, wręcz nie należy poprawiać. Co więcej, każdy przekład usiłujący skorygować czy też pozbawić *différance* przypisanego jej błędu, sam staje się błędem, już nie

⁴ http://bb.ph-f.org/przeklady/derrida_roznicosc.pdf (26.08.2010)

Derridy, lecz konkretnego tłumacza. Do tej sytuacji wydaje się doskonale pasować spostrzeżenie Heideggera, który zwykł twierdzić, że tylko wielcy myśliciele są w stanie dokonywać wielkich i rażących błędów – *Wer groß denkt, muß groß irren* (zob. Wodziński 1994: 67).

Pozostaje nierozstrzygnięte dotąd pytanie: w jaki sposób wypada przetłumaczyć błąd ortograficzny? Z pewnością nie powinno się wnosić poprawek, lecz po prostu samemu trzeba go popełnić, poddając się przez chwilę – jeżeli o autorytetach mowa – wskazaniom Seneki Starszego: *errare humanum est*. A gdyby się dłużej wahać przed podjęciem brzemiennej w skutki decyzji, sam twórca dekonstrukcji przychodzi nam z pomocą, pytając: dlaczego język macierzysty należałoby chronić przed działaniem pisma, które określa się jako akty zniekształcenia i agresji? (por. Derrida 1999: 68).

Skoro można już zaryzykować twierdzenie, że wyzbyliśmy się paraliżującego lęku przed nieuchronnie czekającym nas błędem, trwale wpisanym w kondycję *différance*, pora stawić mu czoła i ocenić, jakie perspektywy badawcze jest w stanie przed nami otworzyć. Poniższy wywód będzie zatem nie tyle uzasadnieniem lub usprawiedliwieniem błędu, ile intensyfikacją gry jego natarczywości (por. Derrida 2002: 28).

Pierwszą propozycją będącą efektem (orto)graficznego rozprzężenia jest wspomniana przez Banasiaka rażąca „ruźnica”. Ta natomiast nie jest w żadnym wypadku słowem, pojęciem ani neologizmem, nie może zostać również wypowiedziana, a przez to uobecniona. Są to niewątpliwe zalety dostrzegalne w zasadzie natychmiast, którymi bez trudu może poszczycić się termin powstały przez zmianę tylko jednej litery. Po dłuższych oględzinach okazuje się jednak, że „ruźnica” zdecydowanie wskazuje na pewien istotny ubytek, a to ze względu na zamianę zamkniętego, pełnego *ó* na otwarte, ziejące pustką *u*. Powstała nieobecność byłaby jeszcze do zniesienia, gdyby wyeksponować i położyć odpowiedni nacisk na samą otwartość, a zatem gotowość do przyjęcia, ale powstały deficyt graficzny w dziwny sposób łączy się z rdzeniem „nic” oraz z palącą świadomością błędu ortograficznego, który można też pojmować jako pewien brak, lukę w wykształceniu. Dlatego taka forma zapisu okazuje się wyraźnie przytłaczająca, podobnie jak omawiana wcześniej propozycja Sławka: „różNIC-ość”. „Ruźnicę” należy więc czym prędzej porzucić, gdyż sama z siebie nie daje możliwości zrekompensowania powstałej straty, nieobecności, nie oferuje również żadnej dla niej przeciwwagi. W dodatku termin ten nie otwiera wielu ścieżek interpretacyjnych do dalszego rozwinięcia i nie przyczynia się szczególnie do ukazania i przybliżenia charakterystycznych cech dekonstrukcji, ujawnia zatem niewiele ponad swoją nieużyteczność.

Różnica

Sam pomysł, aby przetłumaczyć derridiańską *différance* jako „różnica”, wiąże się bezpośrednio z pojęciem iterowalności, gdyż taka właśnie propozycja zdaje się nietypowym powtórzeniem różnicy, jej sobowtórem, z którym różnica może wchodzić w rezonans. Interesujące, że dopiero w momencie, w którym dopuścimy to budzące tyle kontrowersji przesunięcie/ odchylenie, spostrzeżenia Derridy zaczynają nabierać pożądanej przez niego siły wyrazu. Zatem „różnica” to „pospolity błąd ortograficzny, uchybienie regułom pisowni, prawa zawiadującego pisaniem i utrzymującego je na odpowiednim poziomie” (Derrida 2002: 28).

Wypada zgodzić się z myślicielem, że takie postawienie sprawy niczego nie ułatwi, a raczej przysporzy wielu kłopotów, lecz wynika to bezpośrednio z problematyczności i konfliktowości samej *différance* (Derrida 2002: 30). Pisana właśnie w ten sposób „różnica” w zasadzie już od pierwszej chwili rzuca się w oczy, ponieważ, jak wiadomo, nie może obić się o uszy, osiągnąć tak bardzo pożądanego przez słuchaczy wydzźwięku, by niejako odznaczyć się swoją różnicą. Ten dziwny neografizm przede wszystkim zakłóca nasze pojęcie źródła, gdyż nie ma żadnego usprawiedliwienia dla swego pojawienia się, brak mu solidnej gwarancji w postaci słownikowego odpowiednika, definicji czy też rzeczywistego desygnatu. Również trudno – jeśli ktoś chciałby się o to pokusić – wywieść go etymologicznie, a tym samym ukazać linearną, historyczną ewolucję tego terminu lub jego tradycję, genealogię. Ale to jeszcze nie wszystko: „różnica” nie znajduje osób, które chciałyby się do niej przyznać, i mało kto się pod nią podpisze, nikt nie sygnował jej swoim nazwiskiem, dlatego nie ma także swojego autora, właściciela. Właśnie ze względu na tę nieźródłowość początek rozważań na temat tego dziwnego tworu musi znajdować się gdzieś w jego wnętrzu, czyli w wieloznacznym dwuznaku *rz*.

Nie należy ukrywać faktu zupełnej bezpodstawności „różnicy”, a nie mając własnej podstawy, „różnica” może bez trudu podstawiać się (łańcuch substytucji), podawać za to, czym w gruncie rzeczy nigdy nie jest. Nie tworzy również fundamentu, jednorodnego centrum, przez co wymyka się binarnym opozycjom, które chciałyby ją schwytać i zatrzymać jej grę różnic. Podejmuje dość duże ryzyko, by nic nie znaczyć, dlatego z perspektywy logocentryzmu nie będzie mieć żadnego gwarantowanego i trwałego sensu (zob. Derrida 1997: 17). Swoim niewymownym, nierozróżnialnym *rz* milcząco zrywa z dyktaturą fonocentryzmu. Toteż tak trudno udzielić jej

głosu i prosić o jakąkolwiek wypowiedź, bo sama tonie w niewypowiadalności. Derrida w rozmowie z Henri Ronsem odwołuje się do zmysłu wzroku, uznając w tym wypadku słuch i komplementarną w stosunku do niego mowę za całkowicie ślepe: „Zauważył pan, że to *a* [można by wstawić tu *rz* – A.M.] pisze się lub czyta, ale nie słycać go. Przede wszystkim trzymam się mocno tego, że dyskurs – np. nasz, w tej chwili – na temat tej alteracji lub agresji graficznej i gramatycznej zakłada konieczność odniesienia się do niemej interwencji znaku pisanego” (Derrida 1997: 12).

Lęk przed przetłumaczeniem *différance* z błędem ortograficznym, z którego nie sposób się wytłumaczyć, prawdopodobnie podyktowany jest nigdy niezaspokojonym pragnieniem obecności sensu. Derrida w jednym ze swoich tekstów (*Tympanum*) zapisanych na marginesach filozofii określa to zjawisko jako strach przed przebicciem ucha, które skutecznie uniemożliwiłoby uobecnianie się logosu, a tym samym stąpiłoby ostrze całej metafizyki obecności. Filozof przywołuje opowieść o pewnym podłużnym owadzie zwanym oficjalnie skorkiem pospolitym (*Forficula auricularia*), zwyczajowo zaś – szczyprawką lub zausznikiem. Jego zdolność drażenia krętych kanalików w owocach przyczyniła się do powstania niechlubnej opinii, jakoby owad ten był skory do wpełzania do ludzkiego ucha i – przez penetrację tego wrażliwego narządu – do przebijania błony bębenkowej, by następnie bez trudu wgryzać się w mięsz mózgu. W niektórych rejonach Polski w języku mówionym nazywa się skorka „uszolem”, co nie tylko plastycznie obrazuje jego domniemywane obyczaje, lecz ujawnia również związek mowy z nieodłącznym lękiem, obawami dotyczącymi pozbawienia słuchu. Można stwierdzić, że „róznica” wgryza się w oczy, ale dopiero wtedy, gdy pierwszy zawiedzie nas słuch, który w przypadku derridiańskiej miny dźwiękowej – *rz* – nagle zostaje nam odebrany. Fetyzysci słuchu, przykładający ucho do słownych sensów, czyli idei z reguły dotrzymujących słowa, narażeni są w tym momencie na zmysłową konfuzję/kontuzję. Derrida natomiast sam zdaje się pytać o ich przyszłość, powtarzając za Zaratustrą Nietzschego: czy trzeba im będzie przebić uszy, by nauczyć ich także słyszeć oczami? (Derrida 2002a: 9, 13).

Jeżeli przestaliśmy słyszeć – a proszę mi wierzyć, że z pewnością nie jest to zasługa żadnego owada – w konsekwencji oddaliśmy się od ożywczego tchnienia głosu, głównego sprawcy obecności dla siebie. Wchodzimy natomiast w domenę pisma, które – jak twierdzi filozof – staje się zdradą życia zagrażającą nie tylko oddechowi, lecz również duchowi oraz historii jako stosunkowi ducha do siebie (por. Derrida 1999: 48). Pisanie,

by posłużyć się maksymą Blanchota, jest równoznaczne z umieraniem (*écrire/mourir*). Błędny zapis – „róznicza” – może powstać jedynie pod nieobecność korektora, w czasie snu strażnika – snu, który poniewczasie okazuje się snem śmiertelnym. Nie ma komu tego odczytać, gdyż powyższe pismo jest jednocześnie aktem zgonu spójnego i twardego podmiotu. Teraz dopiero wiadomo, skąd wzięło się to grobowe milczenie, a ono w niczym nie przypomina żałobnego lamentu starającego się swym rzewnym łkaniem wywołać życie wieczne.

Niewypowiadalna, głucha cisza pisma zwiastuje nieuchronny kres człowieka, milczy, nie będąc jednak w stanie znaleźć w sobie odpowiedniego żalu i smutku po nim. Z łatwością przychodzi nam oznajmić śmierć Boga, podobnie zmierzch podmiotu, lecz zdecydowanie trudniej dać tego dowód lub stosowny wyraz. Dlatego słuszne wydają się podejrzliwe, pełne niewiary, a jednocześnie nadziei pytania: gdzie jest ciało człowieka, gdzie leży jego trup? Ciężko jest znaleźć truchło podmiotu, który w swych intelektualnych uniesieniach i duchowych dążeniach wydawał się niemalże bezcielesny. Skoro jednak nigdy taki nie był, to znalezienie zwłok będzie zadaniem karkołomnym, ale jak najbardziej możliwym.

Dwuznak *rz* jest w Derridiańskiej „rózniczy” płytą nagrobną, a pod nią pochowany został podmiot, tam właśnie spoczywa monarcha, jedyny gwarant metafizycznego porządku. „Ów kamień – pod warunkiem że się wie, jak odczytać wyryty na nim napis – to omal powiadomienie o śmierci dynastii” (zob. Derrida 2002: 30)⁵. Milczenie i grobowiec to jednak nie wszystko, co skrywa się w przepastnym i niebezpiecznym *rz*, będącym przede wszystkim znakiem rozkładu. Ten bardzo dziwny, dwuznaczny, rozczłonkujący ruch, bez ściśle wyznaczonego centrum jest jedyną możliwą dynamiką tego, co już dawno umarło i zastygło. W przypadku zwłok nigdy nie wiemy do końca, co dokładnie w nich się porusza, a ta niewiedza staje się w końcu dla obserwujących je wstrętna (abiektalna), napawa obrzydzeniem. O zwłokach pojedynczego człowieka zawsze mówi się w liczbie mnogiej, co dobitnie podkreśla tę ambiwalencję, nierozróżnialność, z jaką się wówczas spotykamy. Wydaje się, że jednostka musi umrzeć, by z trudem ukrywana wielość i relacyjność mogła ponownie wyjść na jaw. Zmiana spójnego, twardego *z* w rozwlekłe, horyzontalne *rz* rozsadza jedność różnicy, a ta staje się wytwórczą wielością. Jej produk-

⁵ Filozof w *la différance* porównuje literę „A”, głównego sprawcę francuskiego piramidального błędu, do egipskiej piramidy, grobowca.

tywność polega na nieustannym dążeniu do mnogości, rozsiewania i rozpleniania (*dissémination*) (zob. Derrida 1981).

„Różnica” jest strukturą pasywno-aktywną, co oznacza, że reprezentuje dość dziwną dynamikę, podobnie jak rozkładające się, a przez to – paradoksalnie – pełne życia zwłoki. Charakteryzuje się zatem działaniem podobnym do błędzenia, nieposiadającym swego źródła, przedmiotu ani nawet celu. Dlatego też jedyne, co możemy o niej powiedzieć z większą niż zazwyczaj dozą pewności, to fakt, że unieważnia i zawieszają opozycję binarną: bierne/czynne. Nie sposób opisać ją w tych przestarzałych już kategoriach, gdyż – jak się okazuje – nie nadają się one zupełnie do uchwytywania subtelności i różnorodności zjawisk. Podobnie jak w przypadku rozkładającego się truchła (zwłok), które jest jednocześnie pasywne/aktywne, podmiotowe/przedmiotowe, żywe/martwe, „różnica” znajduje się między tymi dualizującymi kategoriami, nie mogąc zdecydować się na żadną z nich.

Prześledźmy w takim razie wnikliwie, na czym właściwie polega specyficzny, wytwórczy aktywno-pasywny ruch. Po pierwsze, „różnica” jako martwy, a w dodatku błędny zapis wytwarza szczególny rodzaj poruszenia w próbującym ją odczytać twardym, logocentrycznym podmiocie. Nie jest to może zgorzenie, lecz typowe dla niej rozchwianie, utrata spójności oraz przesunięcie granic spowodowane wpadnięciem w dekonstruujące rozzedrganie. Wywołuje ona pewien odruch, niepokojące drżenie, ciarki czy dygot. Dlatego nie można o tych słabych zjawiskach pisać jako o czystych, jednoznacznych, zdecydowanych aktach, które z pewnością mogłyby być dziełem nieporuszonego poruszydca. Należy rozpatrywać je raczej w kontekście słabych, powierzchniowych wyładowań, nie wypada ich jednak lekceważyć, gdyż posiadają odpowiednią moc, by wywoływać ekstazy oraz przeszywać na wskroś. Dreszcz nigdy nie staje się pełnym, obecnym dotykiem, jest za to śladem, poruszeniem w pewien niewytłumaczalny sposób przenikniętym śmiercią.

Po drugie, warto zwrócić uwagę na ruch, który nie dokonuje się już w odczytującym graficzny zapis, lecz jest zlokalizowany w samej „różnicy”. Dwuznak *rz* nie tylko wzbudza ogólne poruszenie, lecz jawi się przede wszystkim jako rozsunięcie (*espacement*) różnicy wszertz. To doskonale widoczne rozwleczenie wiąże się z niechęcią do osiągnięcia celu (*τέλος*) i wydaje się typową grą na zwłokę. Dynamika *différance* wkracza w bardzo dobrze nam znane doświadczenie zawsze już obecnej rzeczywistości i we właściwy sobie sposób zakłóca jej dwa wymiary: czasowy oraz przestrzenny.

Jeśli weźmiemy pod uwagę czas i jego płynność, będziemy mieli do czynienia z odwlekaniami, w zasadzie nawet z pewnym rodzajem rozlazłości, czyli typowym ruchem zwłok(i). Zwiększenie liczby liter, nadprodukcja osiągnięta przez wprowadzenie *rz* powoduje, że „róznicza” doskonale łączy w sobie aspekt ekonomiczny, wytwórczy, z odroczeniem. Niespodziewana interwencja mnogości, obsceniemy, błędny nadmiar sprawia, że nie możemy doczytać „rózniczy” do końca, grzęźniemy w niej i zatrzymujemy się na *rz*, gdyż ta w żaden sposób nie chce nam przejść przez gardło.

To temporalne odwleczenie (jeszcze nie), przypominające czekanie na Godota, Derrida nazywa obecnością odroczoną (zob. Derrida 2002: 35). Zachodzi ona wtedy, gdy skupiamy się na kapryśnym znaku, który składa obietnicę odniesienia czytelników do czegoś istniejącego i stojącego za nim, lecz wcale nie chce tego uczynić. Dlatego ciągle daje nam tylko słowo, opóźniając w ten sposób w nieskończoność – upragnioną przez konserwatorów obecności – chwilę drogocennej referencji.

Jeżeli chcielibyśmy podkreślić przestrzenność, rozciągnięty wymiar „rózniczy”, należy odwołać się do rozsunęcia, przesuwanego sensu ruchu, który w głównej mierze odpowiedzialny jest za szczelinę, jaka powstaje pomiędzy *r* i *z*. Ukazujący się naszym oczom prześwit widoczny jest jedynie w graficznym zapisie, natomiast jako całkowicie niesłyszalny nigdy nie zostanie uobecniony w mowie, może być wyłącznie sugerowany przez nagłe przerwanie wypowiedzi lub wahanie próbujące wypowiedzieć „róznicę”.

Powstałego rozstępu, bruzdy, nie można jednak mylić z negatywnie rozumianą luką, gdyż ta odsyłałaby nas bez wątpienia do pustej przestrzeni nieobecności czy po prostu braku. Ten odstęp ma raczej wskazywać na otwartość struktury, eksponować płaszczyznę gotową do przyjęcia tego, co nie może stać się obecne, jednocześnie stanowi przesunięcie i zdecydowane wejście, marsz (*marge/marche*) na margines błędu. Dopiero w tym uskoku pisma może pojawić się niebrana do tej pory pod uwagę Inność, a zyskujemy do niej wejście poprzez wytworzoną szczelinę i niepokojące *rz*: „Rozsuniecie nie oznacza niczego, żadnej obecności na odległość; jest to wykładnik nieredukowalnego wnętrza, a jednocześnie ruchu, przemieszczenia, które oznacza nieredukowalną odmienność. Nie rozumiem, jak można by oddzielić te dwa pojęcia: rozsuniecie i odmienności” (Derrida 1997: 76).

Różnica jest pojęciem czystym i doskonale jednoznacznym, lecz nie sposób stwierdzić tego samego w przypadku „rózniczy”, ponieważ wówczas zostaniemy skonfrontowani z nachodzącą nas obcością, znakiem ra-

dykalnej Inności. Ta natomiast może być dostępna jedynie pod postacią śladu, tego, co z perspektywy ontologii ma bardzo eks-centryczny status, gdyż będąc tylko pozostałością przeszłego istnienia, nie jest nigdy w pełni obecny, ale pozostając wciąż czymś, nie jest również całkowicie nieobecny. Dlatego Inności możemy doświadczyć poprzez resztkę, a ta zazwyczaj przybiera bezkształt czegoś zatartego, rozmazanego, co niesamowicie trudno rozpoznać i wydobyć na jaw. Z tego właśnie powodu o bezimiennym można mówić tylko w kategoriach czegoś nieczystego, nieswojego. Toteż *rz* jest jak ślad nieznanego, intruza, z którym nie chcemy mieć wiele do czynienia, nie pragniemy go poznać, gdyż jego odmienność (*altérité*) napawa nas lękiem. Dobrze znane nam terytorium języka zostało zatem naznaczone nieznanym znakiem, co wprawia w zakłopotanie i budzi poczucie nieswojności. Jak gdyby coś usytuowanego poza rozpoznawanym przez nas sensem zostawiło, odcisnęło ślad, lecz przestało być już obecne.

Warto wspomnieć przy okazji o znanej niechęci Francuzów do używania, a w konsekwencji przyswajania, wyrazów obcego pochodzenia, które mogłyby zanieczyścić, skalać i osłabić ojczystą mowę. Za obronę przed obcymi wpływami i za poprawność języka francuskiego odpowiada Académie française, strategicznie wystrzegając się wszelkich zapożyczeń. Instytucja ta między innymi tworzy w rodzimym języku odpowiedniki obcojęzycznych słów bezprawnie przekraczających granicę najczęściej wraz z nowinkami technicznymi. Wystarczy podać tylko kilka przykładów takiego postępowania, związanych akurat z językiem angielskim traktowanym jako nieproszony gość: *computer* – *l'ordinateur*, *walkmen* – *baladeur*, *software* – *logiciel*, *tie-break* – *jeu décisif*⁶. Język polski jest pod tym względem zdecydowanie przychylny zapożyczeniom, gdyż wszystkie powyższe wyrazy funkcjonują w nim niezmiennie (drobna modyfikacja w przypadku komputera).

Dlatego „różnica” (*différance*), sama odrzucona jako nieczysta ze względu na uchybienie związane z ortografią, dzięki obcemu i nierozpoznanemu składnikowi, niefonetycznemu śladowi, jest w stanie niepostrzeżenie przemycić to, co Inne, w struktury języka, otworzyć się na zupełnie różne konteksty. Dwuznak *rz* ukazuje prześwit, stanowiący przede wszystkim przestrzeń gościnności (zob. Derrida 2004), w której wreszcie może odnaleźć swoje miejsce to, co nieredukowalnie obce, nieprzychylne i konfliktowe. Dlatego to właśnie pomiędzy *r* i *z* może pojawić się Inność,

⁶ Więcej na temat obrony języka francuskiego można znaleźć na stronie Académie française: <http://www.academie-francaise.fr/> (26.08.2010).

powodując rozszczepienie. Dzięki „rórnicy” w homogeniczny łańcuch tego samego zostaje wpleciona różnica, wielość, odmiennosc i nienormalność. Jeden spójny, twardy sens (*λόγος*) bez końca reprodukowany umacnia jednocześnie uniwersum tego samego, w ciągu powtórzeń zostaje natomiast przechylony, a odchylając się (*λοζός*), tworzy szczelinę – miejsce dla wszystkiego, co istnieje niejako pomiędzy.

Derridiańska *rórnica* dzięki swojemu relacyjnemu *rz* tworzącemu więzkę nawiązuje do „zawikłanej struktury spłotu, plecionki, w której można wyodrębnić różne wątki i rozmaite kierunki sensu – lub sił – i która zarazem zawsze może powiązać ze sobą następne” (Derrida 2002: 30). Derrida w *Pozycjach* podobnie interpretuje grecką literę χ (chi), zaczerpniętą ze słowa *chiasm* (*χίασμα*), i traktuje ją jako symbol rozwidlenia, widełek, pęku kluczy bądź siatki powiązań (1997: 67). To asymetryczne skrzyżowanie (jedno ramię jest dłuższe od drugiego) ma wyrażać przecięcie oraz podwójność nauki/sensu (*double science/sens*), a tych – jak doskonale widzimy w języku francuskim – nie da się tak samo powtórzyć, stąd lekkie przesunięcie, przechylenie znaczeń względem siebie.

Relacyjna wykładnia „rórnicy” jako rozstaju dróg pozwala inaczej postrzegać pisane dzieła, co sprawia, że nie możemy ich już dłużej odbierać jako czystych, własnych, autorskich i spójnych utworów. Tekst jest od samego początku wielością, dlatego tylko z pozoru przypomina jednorodnie ułożone bloki, ciągnące się równo rzędkie liter i wyrazów, mających wyraźnie zaznaczone źródło oraz cel. Nigdy nie pisze się w samotności, zazwyczaj jest to czynność grupowa, tworzy się w sieci nawiązań, niemalże w stadzie, splocie z tymi, którzy nie mogą już inaczej niż poprzez teksty przemówić. Dlatego pismo dzięki swojej otwartości, martwo-żywej strukturze wydaje się nieustannie nawiedzane przez Inność, staje się przepełnione cudzymi śladami, a wątki te mogą zostać z kolei pociągnięte przez skupiających się na danej wiązce interpretatorów. Tworzymy zatem zawsze na wielorakim skrzyżowaniu dróg, wędrując zazwyczaj w dobrym towarzystwie, do którego się przyznajemy w przypisach. Pozostaje pytanie: do jakich towarzyszy podróży nie chcemy się przyznać? Ci mogą jedynie liczyć na obecność w naszym tekście w postaci śladu, widma, niewyraźnie mającego kształtu, wydobywającego się przez szczeliny. Jedynie tekst zawsze może gościć w sobie Inność dzięki temu, że nie jest w stanie przytłoczyć jej pełnią obecności.

Otwartość i ambiwalencja *différance*, wprowadzając nas w niekończący się łańcuch substytucji i uwodzących podstawień, prowadzi do kolejnych

Derridiańskich pojęć. Pierwszy z nich: „suplement”, tłumaczony również jako „uzupełnienie”, objawia się pewnym nadmiarem, który jednocześnie odsłania jakiś doskwierający brak. Ten charakterystyczny dla dekonstrukcji termin Derridy znajduje doskonałą graficzną egzemplifikację w naszym zapisie. Na pierwszy rzut oka widzimy, że dwuznak *rz* przedstawia sobą nadmiar, a sama „róznica” z perspektywy ekonomicznej odznacza się zbyt dużą, niepotrzebną wręcz ilością liter. Z drugiej strony uzyskany w ten sposób naddatek, literalna obfitość nie jest w stanie w żaden sposób ukryć faktu, że niesie ze sobą zbyt mało sensu i jako zwyczajny błąd, zbytek, staje się równocześnie brakiem, luką w wykształceniu.

Innym pojęciem, które podobnie jak „suplement” eksponuje przede wszystkim niezdecydowanie i nierozstrzygalność wpisana w „róznicę”, jest obosieczny miecz: „farmakon”⁷. Pojęcie to, wywiedzione przez Derridę z Platoniańskich dialogów, oznacza jednocześnie zbawienne lekarstwo i śmiertelną truciznę. Pismo zatem ze względu na swą dwuznaczną moc jawi się jako groźne i zwodnicze, gdyż wiąże się z niesprowadzalną do jednego podwójnością. Zrezygnowanie z jednoznaczności na rzecz nieprzewidywalnej labilności sprawia, że porzucamy terytorium tego samego, otwierając się na marginalizowaną Inność oraz nieujarzmioną wielość. Dlatego wprowadzenie rozdzielenia *rz* do różnicy może wydawać się z perspektywy metafizyki obecności równoznaczne z odpieczętowaniem puszki Pandory. Litera *z* funkcjonuje tutaj jako zwornik, pieczęć, pozwalając czuć się bezpiecznie, a zarazem ugruntowując metafizyczne *status quo* z opozycjami binarnymi, logosem, fonocentryzmem, twardym podmiotem oraz niezaspokojonym pragnieniem samoobecności. Derrida w żaden sposób nie ukrywa korzyści płynących z takiego otwarcia, ale zdaje sobie sprawę z czyhającego niebezpieczeństwa związanego bezpośrednio z samym pismem: „W łańcuchu uzupełnień trudno byłoby oddzielić pismo od onanizmu. Te dwa uzupełnienia to przynajmniej mają ze sobą wspólnego, że są niebezpieczne. Oba naruszają zakaz i rodzą poczucie winy” (Derrida 1999: 223).

Okazuje się, że nie ma innej ścieżki prowadzącej do *différance* jak tylko pismo; można się tutaj dostać jedynie drogą wiodącą przez zbłądzenie – co więcej, nigdy nie trafia się do niej wprost i bezbłędnie (Derrida 2002: 33). Propozycja, by ten kontrowersyjny termin Derridy tłumaczyć za pomocą polskiego nowo-tworu, neografizmu „róznica”, ma szansę

⁷ Więcej na ten temat, zob. Derrida 1992.

stać się pomysłem niezwykle płodnym i przede wszystkim otwierającym na wielość interpretacji, a te w swej niekończącej się mnogości mogą budzić uzasadniony niepokój w amatorach jedności. Powyższe rozwiązanie translatorskie nie tylko pozwala na udaną krytykę logocentryzmu i fonocentryzmu, ale dzięki swojej ambiwalencji umożliwia też wprowadzenie większości Derridiańskich wątków, takich jak suplement, farmakon, kres człowieka, odwleczenie, rozsunięcie, iteracja, inność, ślad, rozplenianie, odchylenie i wiele innych, tych jeszcze niewydobytych.

Bibliografia

- Banasiak B. 1999. *Róż(ni(c)os)ć*, przedmowa do: J. Derrida, *O gramatologii*.
 Derrida J. 1972. *La différance*, w: *Marges de la philosophie*, Paris.
 ——— 1978. *Różnia*, w: *Drogi współczesnej filozofii*, przeł. J. Skoczylas, red. M. J. Siemek, Warszawa.
 ——— 1981. *Dissemination*, London.
 ——— 1992. *Farmakon*, w: *Pismo filozofii*, przeł. K. Matuszewski, Kraków.
 ——— 1997 *Pozycje. Rozmowy z Henri Ronsem, Julią Kristevą, Jean-Louis Houdebine i Guy Scarpettą*, przeł. A. Dziadek, Bytom.
 ——— 1999. *O gramatologii*, przeł. B. Banasiak, Warszawa.
 ——— 2002. *Różnia*, w: *Marginesy filozofii*, przeł. J. Margański, Warszawa.
 ——— 2002a. *Tympanum w: Marginesy filozofii*, przeł. J. Margański, Warszawa.
 ——— 2004. *Gościnność nieskończona*, przeł. P. Mościcki, „Przegląd Filozoficzno-Literacki” 3 (9).
http://bb.ph-f.org/przeklady/derrida_roznicosc.pdf (26.08.2010)
http://bb.ph-f.org/przeklady/derrida_roznicosc.pdf (26.08.2010)
 Kochanowski J. 2004. *Fantazmat różNICowany. Socjologiczne studium przemian tożsamości gejów*, Kraków.
 Wodziński C. 1994. *Heidegger i problem zła*, Warszawa.

Słowa kluczowe: błąd ortograficzny w oryginale i tłumaczeniu, dekonstrukcja, *différance* różnia, różnica

Derridian *différance*. Is a Spelling Mistake Translatable?

The article examines Polish translations of the Derridian term *différance*. Polish philosophical discourse uses the following renditions of *différance*: *róż(ni(c)os)ć* by Bogdan Banasiak, *różNICa* by Tadeusz Sławek, *gra-na-zwłokę-o-różnicę* by Stanisław Cichowicz and the most popular: *różnia* by Joanna Skoczylas. Should a mistake

be deliberately committed in Polish, as it was done in the original? Or should it be corrected, and if so – how to explain the correction? The suggestion to translate the controversial concept by means of a Polish neologism, the neographism *różnica*, may be productive and such a solution may be open to a number of interpretations. Thank to its ambivalence, *różnica* introduces a majority of Derridian motifs and may generate new ideas and concepts. Moreover, it allows a successful critique of logocentrism and phonocentrism of Western philosophy and a subversion of binary oppositions, hard subject and desire of self-presence. Finally, the misspelled *différance* may be viewed as an example of grammatical Otherness.

Key words: deconstruction, Derrida, *différance*, *różnia*, *różnica*, spelling mistake in translation

